DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 10 stycznia, 1888 r. — Nr. 2.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

OD REDAKCYI.

Szanowny autor wstępnego słowa w pierwszym numerze „Domu polskiego“ tak treściwie, dobitnie i jasno określił tegoż domu cel i zadanie, żeśmy już nie widzieli potrzeby dodawać więcej ze swej strony i odłożyliśmy pogadankę z Szan. Czytelnikami naszymi do następnego numeru.

Zdziwili się niejedni, że — niepomni na losy „Dwutygodnika“ i „Tygodnika“ — z których ostatni mianowicie w tak krótkim czasie skazany został na zagładę, nie zrażamy się przeciwnościami i na nowo podejmujemy wątek przerwanej pracy. Wyznajemy więc otwarcie, dając niejako tym sposobem odpowiedź na czynione uwagi, żeśmy się długo wahali i namyślali i dopiero za radą osób światłych, szlachetnych a gorących patryotów, uznających w obecnych czasach potrzebę miejscowego czasopisma o określonych w prospekcie naszym tendencyach, w ostatniej chwili zdecydowali raz jeszcze wejść na cierniową drogę nowego wydawnictwa, drogę c i e r n i o w ą — powtarzamy — bo zaprawdę więcej na niej ostrych kolcy, co ranią i krwawią, aniżeli kwicia wonnego i słodkich owoców. Raz jednak na tę drogę wstąpiwszy, pragniemy niezrażeni walczyć i wytrwać, pamiętni na tę dowiedzioną i tylokrotnie doświadczoną prawdę, że, co nie udało się wczoraj, może udać się dzisiaj, pamiętni przede wszystkiem na to, że gdy wyższa idea, gdy cel szlachetny przyświeca i przewodniczy szczerym usiłowaniom, usiłowania te — bądź cobądź — nie marnieją, ani przemijają bez wszelkiej korzyści i pożytku. Sumienie wreszcie, ten najsprawiedliwszy sędzia spraw wszelkich, mówi nam, że d o b r e j s ł u ż y m y s p r a w i e!... Przeświadczenie to już dawniej wśród mozolnej pracy podtrzymywało i podniecało upadającą wielokrotnie odwagę naszę — przeświadczenie to budzi w nas obecnie otuchę i nadzieję na przyszłość.

Cel i zadanie pisma naszego, jego program prosty jest i wyraźny: pragniemy pielęgnować umysłowe życie narodowe i zasilać je przede wszystkiem rodzimemi płodami; pragniemy, ile w naszej mocy, przyczyniać się do rozbudzania literackiego ruchu w krainie naszej pod panowaniem pruskiem, a mianowicie w Wielkopolsce; pragniemy, co i dawniej już szczerem było naszem usiłowaniem, pobudzić do działania i wyrobienia się młode talenta, wydobywając tym sposobem jedne z ukrycia, albo zapomnienia, wyrywając inne z odrętwienia, lub cucąc... z uśpienia. Mając wreszcie na względzie tę okoliczność, że życie rodzinne w skutek miejscowych smutnych stosunków — jakoby za przykładem zachodu — mniej korzystnie rozwija się w Wielkopolsce, aniżeli w innych dzielnicach naszego kraju, pragniemy przez rozległe korespondencye choć duchowo gromadzić w „Domu polskim“ rozproszonych po świecie rodaków naszych.

Mamy zamiar mówić w „Domu polskim“ o tem właśnie życiu rodzinnem, towarzyskiem i obywatelskiem, o wychowaniu, o zamiłowaniu obowiązków i pracy, o wytrwałości i odwadze i o różnych moralnych zagadnieniach — a choć to przedmioty znane i wielokrotnie omawiane, zawsze jednak powtarzanie ich i przypominanie — jak przypominanie prawd wiary św. — pożytecznem jest i zbawiennem; a przedstawienie ich w nowej, świeżej i zręcznej formie zdoła nieraz wprowadzić je do serca i duszy i w nich na dłużej utrwalić. Wreszcie wypowiadamy śmiało, że pragniemy, aby „Dom polski“ stał się użytecznym i zajmującym organem w ręku każdego czytelnika.

Ze swej strony uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, nie szczędząc trudu i pracy, aby coraz godniej odpowiadać temu wysokiemu zadaniu, ale zarazem gorąco prosimy społeczeństwo nasze o pomoc w usiłowaniach, które poparte ogólną życzliwością dopiero zdołają wydać pożądane i błogie owoce.

Wiemy, iż powiedzą niejedni: mamy tyle dobrych czasopism warszawskich, naco nam stwarzać nowe. Nie zaprzeczamy bynajmniej wysokiej wartości literackich organów stolicy Królestwa, sądzimy jednak, że te, mając na względzie przeważnie potrzeby własne, mniej — we właściwem znaczeniu tego słowa — troszczą się o nas; nie znając nas dostatecznie, niedostatecznie też odpowiadają potrzebom i wymaganiom naszym, co jest rzeczą zupełnie naturalną i nie myślimy bynajmniej czynić im z tego zarzutu.

Dbając o zgodę, jedność i solidarność całości w głównych i ważnych czynnikach życia narodowego, każda część kraju pod trzema rządami winna w szczegółach myśleć i radzić o sobie. W miarę więc sił swoich duchowych i materyalnych — narodowym obowiązkiem naszym jest podtrzymywać w pierwszym rzędzie i n s t y t u c y e w ł a s n e; nie pozwalać upadać pismom miejscowym, mieć obok wspólnej, ojczystej, swoję lokalną, poznańską literaturę, wzbogacać ją płodami własnej myśli, mnożyć plony pracy i nauki własnej.

W obecnych ciężkich przejściach naszych, wśród gromów i ciosów, mnożących się niemal z dniem każdym, wśród pognębiających nas z różnych stron krzywd i cierpień oczy rodaków pozakordonowych więcej, niż kiedykolwiek, zwracają się na nas. Już „Dziennik poznański“ wykazywał niedawno, o ile prasa warszawska interesuje się „ogólnie naszem położeniem,“ wyrażając się przytem o nas tak bardzo niekorzystnie, że nawet jeden z tamtejszych literacko-politycznych organów wziął sobie za obowiązek wystąpić w naszej obronie. Skrytykowano usiłowania nasze względem utworzenia Banku ziemskiego, przyganiono wiecowi poznańskiemu, odmawiają nam dojrzałości politycznej, co zaś — zdaniem naszem — wśród licznych zarzutów, czynionych nam w Warszawie, brzmi najsmutniej ..... zarzucają nam zwyrodnienie umysłu, zjałowienie myśli — a to już ostateczny stopień nieszczęść. „Pomiędzy inteligencyą, przodującą narodowi, nie ma Poznańczyków — wołają bracia zpoza kordonu — ani czasopisma miejscowe, ani innych dzielnic kraju nie są zasilane talentami wielkopolskiemi; a przecież na szkołach wam nie zbywa i do nazwisk przyczepiacie tytuły doktorów. Gdzież więc topicie rozum wasz nabyty i talenta przyrodzone?... czy w kieliszkach?“

Wprawdzie w niejednym względzie, w skutek nieznajomości — powtarzamy — stosunków, położenia naszego, naszych potrzeb, nędz, krzywd i bólów rodacy nasi zakordonowi sądzą nas zbyt surowo, gorzej, niż na to zasługujemy; trudno jednak zaprzeczyć, aby przytoczony ostatni zarzut był zupełnie bez podstawy. Na dzisiaj obszerniej się nad tem rozwodzić nie będziemy, wspomnimy tylko, że niejedno w tym względzie dałoby się u nas zrobić, niejedno usunąć, zmienić, naprawić, a więc zarzutu podobnego uniknąć, lub śmiało módz go odeprzeć, gdybyśmy szczerze, silnie a wytrwale chcieli tego i pragnęli.

SMUTNO MI, PANIE!

Smutno mi, Panie, bo na mojej ziemi
Coraz czarniejsze gromadzą się chmury,
A choć z tęschnotą zwracam wzrok do góry,
By gwiazdę jasną ujrzeć między niemi,
Ciemno i czarno!... więc ściska się serce,
A wkoło głośno śmieją się szyderce,
Pytając hardo: Gdzie wasze nadzieje?...
Gdzie wiara wasza, co tak silną była?...
Czemu wam wszystko z kolei blednieje,
Czemu was taka noc straszna okryła,
Że więcej nigdy nie zabłyśnie słońce?...
— O! cicho bądźcie, wieści takiej gońce,
O! cicho bądźcie, o! cicho, na Boga!
Bo pęknie chyba z bólu serce moje,
Ale do duszy nie wciśnie się trwoga,
Rozpacznych myśli nie wcisną się roje!...
Wierzę, że chwila zmartwychwstań się zbliża,
Gdyż już za ciężkie jest to brzemie krzyża.

Marya Sokolnicka.

Z dawnych czasów i teraźniejszych dni.

Przez

Ks. Dr. Chotkowskiego.

I.

(Słowo wstępne; nieco z geografii. Księgi biskupie krakowskie; sądownictwo biskupów polskich; charakterystyka życia krakowskiego w XVI wieku; hulanki, ile kosztowało wybite oko Doroty Ganczarki z Kazimirza? Wartość złotego polskiego na nasze pieniądze. Gry ówczesne, gorzałka. Jak oceniać należy wiek XVI.)

Wezwanie szanownej Redakcyi do współpracownictwa w „Domu polskim“ spadło na mnie, jak bomba, niespodzianie. Wiadomo, że teraz pomiędzy tysiącami morderczych wynalazków i ten się jeszcze znalazł, że bomby będą pękały nad głową nieprzyjaciela i rozrzucały szeroko pociski w kierunku nie skośnym, lecz siecznym, to jest, że będą odwracały kierunek i raziły w ten sposób żołnierzy, kryjących się za wały, rowy i t. p. W tym przypadku, przyznać muszę, pocisk działał na mnie obosiecznie, bo powoływał się na potrzeby Wielkopolski, której jedynym literackim organem jest „Dom polski“ i odzywał się równocześnie do moich względem bliższej mojej ojczyzny obowiązków. Jest to tryb podwójnie rozkazujący, o którym wprawdzie żadna gramatyka polska nie wspomina, ale który mi dobrze jest znany. Najlepszym tego dowodem, że piszę. Mógłbym powiedzieć: siadam i piszę, gdyby nie to, że ja i tak ciągle siedzę i piszę.

Jeślim jednak na zawołanie Wielkopolan i Wielkopolanek taki do posługi skory, to proszę przyjąć i wysłuchać małą prośbę, a raczej nauczkę. Odbieram co rok dużo listów z Wielkopolski, a na sto przynajmniej dziewięćdziesiąt adresowane są: Kraków w Galicyi. Ależ, kochani ziomkowie, Kraków nie leży w Galicyi, tylko w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, więc ten dodatek jest błędny i zresztą niepotrzebny, bo nie przypuszczam, żeby którykolwiek z urzędników podwładnych p. Stephanowi miał nic nie wiedzieć o tem mieście, gdzie zabito smoka, który podobno dzieci polskie zjadał. Jaka szkoda, że ten Krakus wziął do grobu tajemnicę swej trucizny, albo że jego córka zamiast skakać do Wisły, raczej kogo innego w niej nie utopiła!

To wspomnienie z dawnych czasów prowadzi mnie od lekcyi geografii do właściwego przedmiotu. Niezmiernie to jednak trudny wybór, dla wybrednych czytelników, a raczej czytelniczek znaleźć coś takiego w starych księgach, coby uczyło, a nie nudziło. Mam przed sobą właśnie takie stare księgi biskupie konsystorza krakowskiego z XVI wieku i z nich zamierzam — proszę tylko nie uciekać — opowiedzieć z dawnych czasów cośkolwiek o kobietach ówczesnych. Będzie to zakrawało na ploteczki z bruku krakowskiego, z tą tylko różnicą, że to będzie najprawdziwsza prawda, bo zapisana ręką biskupiego notaryusza zaprzysięgłego. Ten notaryusz zasługuje na tem większy interes, że był Wielkopolanin, pleban w Kozielsku, a zwał się X. Jan Wilamowski. Ponieważ biskup Tomicki, którego akta właśnie mam przed sobą, był i poznańskim i krakowskim biskupem równocześnie, więc i prezesem kancelaryi biskupiej był Wielkopolanin, X. Doktor Jakób z Obornik, proboszcz kolegiaty św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Czy parafia w Kozielsku i fara w Poznaniu dobrze na tem wychodziły, że ich duchowni pasterze w Krakowie stale przebywali, to już nas tutaj nie obchodzi bliżej.

Dla związku jeszcze i objaśnienia winienem tu przypomnieć rzecz skądinąd znaną, że biskupi polscy mieli aż do roku 1552 jurysdykcyą sądową taką, że i najmożniejszych panów mogli przed swój trybunał cytować. Był to hamulec na „reformacyą“ tak potężny, że gdyby go w tymże roku (1552) nie był episkopat polski z rąk wypuścił, gdy

się zgodził na to, aby sądy biskupie w rzeczach wiary były na rok zawieszone, to herezya nigdyby nie była mogła w Polsce się rozszerzyć.

Przed te sądy biskupie szły najrozmaitsze sprawy: długi, ugody, zastawy, zobowiązania, testamenta; spory, zwady, kłótnie, obrazy honoru, bijatyki i okaleczenia; sprawy czynszów, dziesięcin, dzierżaw, dotacyi kościołów; zbrodnie, świętokradztwa, morderstwa, obrazy majestatu; a nadto jeszcze inne sprawy, których tu nie chcę wymieniać, bo i tak o nich pisać nie mogę. Z tego wyliczenia łatwo się domyślić, że w tych księgach, jak w kalejdoskopie, zmieniają się ludzie i nazwiska, że z tych pożółkłych kart, na których pisała od dawna już w grobie spruchniała ręka, zmartwychwstaje ci przed oczyma cały ten ruchliwy i żywy, wesoły i swobodny świat polski, który po Orszy i hołdzie pruskim czuł się od trosk wolnym, a że był w dobrobycie, więc i hulał nieźle. Szyneczków, knajpek, prywatnych warzelni piwka było jeszcze więcej, niż dzisiaj w Krakowie, chociaż i przez połowę wziąwszy, jeszczeby ich było na te czasy za wiele. Jakże nie było pić zresztą, kiedy nawet Jego Magnificencya, Rektor Wszechnicy, który był do pewnego stopnia ministrem oświaty i miał pod rządem swoim nietylko młodzież akademicką, ale i wszystkie szkoły i wszystkich profesorów, magistrów i bakałarzy w Krakowie — miał też propinacyjkę własną. Oczywiście wydzierżawiał tę propinacyą. Do dziś chowa wszechnica kobierzec, z tych, które zowią „mekka", dla znawców nieocenionej wartości. Dzierżawca bowiem propinacyi co rok przynosił taki kobierzec w darze, a rozkładając na ziemi, wyliczał dzierżawę u nóg Jego Magnificencyi. A jeśli takie kobierce perskie mógł dawać w prezencie, to pewnie źle na dzierżawie nie wychodził. Młodzież musiała przede wszystkiem trzymać się rektorskiego piwa, o czem zresztą Księgi rektorskie bardzo wiele mówią. Hulały też wszystkie stany i to bez wyjątku, a bójki, zwady i bijatyki, jako cień za światłem, szły w ślad za hulankami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEROZDZIELNI.

Nowela M. Gawalewicza.

(Dokończenie)

Co roku w dzień zaduszny jechali na cmentarz z wieńcem i lampkami na grób jedynaka, który otaczała żelazna krata, odnawiana już kilka razy; na mogiłce stał pomnik z urną i aniołkiem ze złożonemi do modlitwy rączkami.

— Coby to był za mężczyzna teraz!.. powiadali sobie z westchnieniem — byłby już dawno żonaty z jaką ładną, dobrą panienką... mieliby dorosłe dzieci...

Na myśl o wnukach obojgu łzami zachodziły oczy.

Niekiedy tylko, w ważniejszych chwilach, gdy siedząc w swoich starych, głębokich fotelach na balkonie, rozmawiali o ciężkich czasach, o zmianach, jakie zaszły w świecie, o coraz gorszych klęskach, jakiemi Bóg ludzi doświadcza, jedno, lub drugie wyrywało się z westchnieniem:

— Dobrze, że tego Lolo nie doczekał.

Na tym balkonie od ogrodu staruszkowie odbywali najczęściej siestę po obiedzie; kapitan zapalał fajeczkę węgierską z chwaściskami, kapitanowa brała do rąk gazetę i czytała na głos mężowi wiadomości polityczne i nekrologią.

Te dwa temata najwięcej dostarczały im materyału do pogawędki.

— No, patrzaj, patrzaj — przerywał jej nieraz małżonek, gdy się między nieboszczykami znalazło znajome jakie nazwisko — i temu poczciwemu Wierczyckiemu się zmarło!... przecież nie był jeszcze tak stary, młodszy chyba ode mnie o trzy lata. Ciekawym, co mu było?... no, no, a to się pospieszył! Ktoż tam jeszcze?...

Czasami pan kapitan z fajeczką w zębach zasypiał, gdy Franusia przechodziła do felietonu; muchy siadały mu na wąsach, lub czole, mrugał wtedy krzaczystemi brwiami i sapał, mrucząc pod nosem.

A Franusia zieloną gałązką, zerwaną z oleandra, odpędzała lekko natrętne muszyska, które Kubusiowi spać nie dawały i wpatrywała się w jego twarz marsowo-nachmurzoną uśmiechnięta, pogodna, z przechyloną trochę na ramie głową w popielatym czepeczku z jedwabnemi wstążkami. Przypatrywała się swojemu Kubusiowi z tą miłosną troskliwością najwierniejszej towarzyszki życia, która od pół wieku dolę i niedolę, każdy uśmiech i każdą łzę na tej twarzy dzieliła całem sercem... Stary, kudłaty pudel, opasły i ociężały, ślepy na jedno oko wychodził również na balkon, siadał pomiędzy panią i panem i przyglądał się ciekawie to jej, to jemu, jakby się dziwił, że siedzą tak blizko siebie i nie rozmawiają wcale.

Zdarzało się to tylko wtedy, gdy kapitan zasypiał, albo gdy kapitanowa na wieczor koronkę odmawiała; o! wtedy robiło się cichutko, jak makiem zasiał — Kubuś, choć mu to ciężko przychodziło, w swoich aksamitnych, wiśniowych pantoflach z wyszywanemi złotem bratkami na palcach chodził po pokoju, aby nie przerywać modlitwy swej żony.

On wiedział dobrze, że ona za niego tak szczerze się modli...

. . . .

Pamiętam dwa pogrzeby w dniu jednym, o jednej godzinie: śmierć rozłączyła ich tylko na kwadrans, kiedy kapitan zmarł na apopleksyą, a ona na anewryzm serca.

Pan Bóg wysłuchał codziennej prośby staruszki, aby jej nie pozwolił przeżyć Kubusia, jeśli go kiedy do chwały swojej powoła...

Dobry Bóg!...

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Poznań, d. 8 stycznia.

„Obyś nigdy nie wrócił!" — takiem nieserdecznem słowem żegnaliśmy rok ubiegły, rok słynny z klęsk i nawałnic narodowych, rok bogaty w tak zwane ustawy i rozporządzenia antipolskie. „Lepszego nowego roku!" tak brzmiały jednogłośne życzenia nasze noworoczne, tem serdeczniejsze, im ogólniejsza i twardsza nasza dola

Niestety! nie zaszły dotychczas żadne oznaki, któreby pod względem narodowym zapowiadały rok pomyślniejszy i któreby błogim nadziejom pozwalały wziąć górę nad smętnemi obawami. Już z pierwszego tygodnia nowego roku z obowiązku kronikarskiego przychodzi nam zapisać fakt bynajmniej nieświadczący o tem, jakoby system do nas zastosowany miał zostać zmieniony. Oto w tutajszem gimnazyum Maryi Magdaleny z początkiem nowego kwartału szkolnego zaprowadzono wykład religii w języku niemieckim, a nadto w niektórych klasach przeniesiono lekcye języka polskiego na czas pozaszkolny. Zupełnie równa wiązanka noworoczna dostała się uczniom innych prowincyalnych zakładów naukowych, a nadto chodzi pogłoska, że niebawem w wszystkich szkołach W. Ks. Poznańskiego, tak wyższych, jak elementarnych, zniesioną zostanie nauka religii św. w języku ojczystym.

Wobec tak smutnej perspektywy na przyszłość nie może nikogo dziwić, że dzisiaj u nas prawie zupełnie przycichło o zabawach, które zwykle w czasie tak zwanym „karnawałowym“, od Bożego-narodzenia do zapust, były na porządku dziennym. Słuszna to i naturalna, bo, jak mówi poeta, „ktożby chciał skakać na ojczyzny grobie?“

Jeśli jednakowoż z jednej strony cały prawie nasz ogół potępia w czasie tak wielkiej dla nas żałoby wszelkie zabawy szumne, huczne i kosztowne, to z drugiej strony nikt także żądać nie może, abyśmy się nagle z *Jean qui rit* zamienili na *Jean qui pleure*. Wesoły umysł zachować nawet w nieszczęściu, radził już stary Horacy, a i najwięksi moraliści przeciwko skromnej, niezbytkownej i uczciwej zabawie nic mieć nie mogą.

Tego samego zdania było też prawdopodobnie tutajsze „Koło towarzyskie“, kiedy w dzień Nowego-roku urządziło koncert amatorski. Koncerta bez wątpienia należą do zabaw i wdzięcznych i wzniosłych, a u nas w Polsce tem więcej są na miejscu, że Pan Bóg narodowi Chopina i Moniuszki nie poskąpił daru do muzyki, jak w ogóle do sztuki. To też koncert „Koła towarzyskiego“ powiódł się pod każdym względem: amatorzy odebrali zasłużone, rzęsiste oklaski, publiczność opuściła salę bazarową zadowolona i podniesiona na duchu, a na cele dobroczynne wpłynęło z koncertu dosyć sporo grosza, tak, że cel połączenia z zabawą pożytku zupełnie osiągnięty został.

Zresztą mamy w mieście naszem instytucyą, która zawsze podwójnemu temu celowi służyła, a która zupełnie zastąpić nam może to, czego sobie skądinąd odmówić musimy. Tą instytucyą jest polska nasza scena, ta ulubienica nasza tak w złej, jak dobrej doli. Nie tu miejsce rozwodzić się nad zadaniem sceny i nad korzyściami, które teatr dla umysłu i ducha naszego przynieść może. Pisano o tem zresztą przy zakładaniu poznańskiego teatru naszego bardzo długo i szeroko. Teraz, gdy teatr istnieje, uznanie, jakiem się cieszy u publiczości, jest najlepszym dowodem, że do tej chwili zadaniu swemu sprostał i to dzięki tak zabiegom dyrekcyi, jak uznania godnym staraniom naszych artystów. Chyba tylko przez żart mógł pewien tutajszy felietonista scenę naszę porównać z „piekłem Dantejskiem“. Nam by się raczej zdało, że scena nasza jest tą wzniosłą świątynią sztuki, do której na duchową rozrywkę nietylko spieszy nasza publiczność, ale na której także z przyjemnością oddają się swemu zawodowi nasi artyści. Artysta bowiem, któryby z całego serca nie chciał się poświęcić ukochanej przez siebie sztuce, na miano artysty właściwieby nie zasługiwał. Bogu dzięki jednak, że tego zarzutu nikt naszym artystom uczynić nie może.

Z dniem Nowego-roku dobiegł bieżący sezon teatralny do połowy. W czasie od 2 października 1887 do 1 stycznia b. r. dało dramatyczne nasze towarzystwo w ogóle 53 przedstawień, na które się złożyło 35 sztuk polskich, a 12 sztuk obcych. Nadzwyczajnej pilności naszych artystów zawdzięczamy, że w tymże czasie poznaliśmy ulubione w Warszawie, Krakowie i Lwowie takie swojskie sztuki, jak: „Małżeństwo Apfel“ K. Zalewskiego, „Bilecik miłosny“ i „Nowy dziennik“ M. Bałuckiego i „Łyse konie“ Ad. Abrahamowicza.

Niestety! poniosła w ubiegłym tygodniu scena nasza stratę przez śmierć jednej z artystek: weszła ona na scenę naszę jak kwiat wiosenny i zgasła jak kwiat od promieni słońca, które się zwie — życiem.

Żegota.

KOHINOR.

NOWELA BARONA A. von ROBERTS.

Tłomaczyła J. M. B.

— Doskonale — zadziwiająco!... wyrzekła, a wielkie jej błyszczące oczy zponad stronnic książki spojrzały ku tlejącemu na kominku ogniowi — i lekki uśmiech zaigrał na różanych jej ustach.

— Co ci jest? — pytanie, na które, sądząc z tonu, jakim wymówione było, nie spodziewano się nawet odpowiedzi — bo ten, który je postawił, nawet wzroku nie oderwał od czytanego dziennika. — W każdym razie znowu powiastka bez żadnej wartości, która podnieca i rozognia exaltowany, niedojrzały twój umysł — jak gdyby w życiu nie było dosyć powieści! Niezawodnie historya jakaś, w cieplarni wychodowana....

Oboje małżonkowie siedzieli obok siebie przed kominkiem, mając nogi oparte o pozłacaną jego kratę, — pomiędzy nimi stał stolik z dwiema, pięknego wyrobu filiżankami mokki, a przed nim leżał potężny pies neufundlandzki, który, wcisnąwszy głowę pomiędzy wyciągnięte przed siebie przednie łapy, od czasu do czasu lekko pomrukując, sny swoje zdradzał.

Ona czytała dalej, lecz oczy jej z roztargnieniem pomiędzy wierszami biegały; wreszcie opuściła książkę, a całą twarzyczką ku niemu zwrócona, zapytała:

— Co myślisz, Henryku, ileby też Renz zapłacić sobie kazał za najlepszego swego pełnej krwi paradyera, gdyby ktoś chciał go nabyć od niego?

Tym razem zaszeleściła gazeta w rękach mężczyzny, zmieszał się widocznie, i było to coś więcej, jak proste tylko zdziwienie nad tem, jakim sposobem tak realne sportsmeńskie zapytanie mogło się pomieścić w romantycznej jej główce.

— Jak to?

— No, mówię, gdyby ktoś na przykład zapytał Renza, ileby żądał za swego „Nonplusultra“, lub „Wieszatiela“?

Upuścił gazetę i pytająco w twarz jej się wpatrzył, jak gdyby ciągle jeszcze nie rozumiał, o co chodzi. W dziwny jakiś sposób zwlekał odpowiedź, która zaledwie przez usta przecisnąć mu się chciała.

— Renz postawiłby cenę amatorską, która z pewnością za konia pierwszorzędnego, służącego mu co wieczor do zapełniania cyrku, o wiele byłaby wyższą nad zwykłą cenę targową. Mogłoby to — zależnie od okoliczności — stanowić nieledwie majątek.

Ostatnie słowa wymówił zaledwie dosłyszalnie, jakby do dziennika, który znowu szeroko przed twarzą rozpostarł. Z niepokojem i roztargnieniem spojrzenia jego biegały po łamach czasopisma, a wyraz twarzy zdradzał rozdrażnienie. Wie o czem? czyżby wiedziała? ktoż jej odsłonił tajemnicę?

Jak gdyby była podsłuchała nieme jego zapytanie, natychmiast głośno odpowiedziała:

— Piszą tutaj o niejakim baronie polskim, który właścicielowi cyrku Balbi w Moskwie 80,000 franków za pełnej krwi araba zapłacił, a następnie stracić go kazał — tak jest, „stracić“.. tak tutaj stoi — było to szaleństwem, lecz koń ten zrzucił z siebie ujeżdżającą go kobietę; umarła w skutek tego — wtedy baron w nadmiarze boleści konia stracić kazał... kochał ją do szaleństwa — musiała to być niepospolicie piękna, niezwyczajna kobieta.

Ręce hrabiego Henryka w kurczowym dreszczu gniotły brzegi trzymanego dziennika.

— Miałożby to być opisane? zawołał porywczo. Niepodobna! Tego tam nie ma. A ona wie o wszystkiem — a więc wyszło na jaw to, co od dwóch lat ukrywał tak starannie, ona chce go tylko dręczyć...

Ona jednakże tak zatopioną była w swojej powieści, że zaledwie zwracała uwagę na rozdrażnienie jego i ostre pytające wejrzenia.

— Posłuchaj więc, odezwała się po chwili spokojnie, prawdziwie dziwna historya....

Zaczęła czytać — z początku monotonnie, bez wyrazu, powoli jednak głos jej wzmagał się, podnosił i zapalał:

„A więc... Frenetyczne oklaski zagrzmiały w budynku, gdy Kohinor z nieopisanym wdziękiem w poruszeniu swych członków, podług taktów walca w tańcu się posuwał przez otwartą baryerę. Lekko unoszona na grzbiecie szlachetnego zwierzęcia Miss Bellair, błyszczała tryumfem piękności swej własnej i sztuki; z uśmiechem, jaśniejącym jak słońce, skłaniała głowę na prawo i lewo, towarzysząc zarazem ukłonom prawą ręką, trzymającą szpicrutę. I można było zauważyć, jak, gdy spojrzała do loży, w której znajdował się baron Czermak, więcej rozjaśnił się jej uśmiech, a ukłonowi swemu nadała pełen znaczenia przycisk.

„Stało się. Czy to, jak widmo wyglądająca, obsypana cała pudrem i różem postać *clowna*, który w przedsionku oczekiwał na chwilę wejścia, przeraziła konia, czy go przestraszył prześliczny pudel cielistej barwy, do Mr. Jacques należący, — dosyć, że Kohinor przeląkł się, stanął nagle dęba, przerażająco sztywno, a coraz wyżej i coraz sztywniej się wznosił; jego tylne nogi gwałtownie uderzały o ziemię, a przednie w nerwowych rzutach biły powietrze. Widziano jeszcze amazonkę, starającą się uspokoić wzburzonego rumaka, głaszczącą go dłonią... nagle Kohinor traci równowagę z głuchym łoskotem upada; twardo odbijają się uderzenia kopyt o drewnianą ścianę..... poczem przeraża obecnych widok zataczającej się po ziemi grupy. Na przeciwległej trybunie słychać okrzyki trwogi, na wyższej jednak galeryi, po innej stronie, brzmią jeszcze oklaski zadowolenia, wyrażonego w wywoływaniu amazonki. Muzyka gra dalej walca, a tam na dole, jakby w takt muzyce, odzywają się ciągle jeszcze zrozpaczone uderzenia kopyt końskich o ścianę. Baron Czermak wypada z swej loży, niektórzy zpośród publiczności podnoszą się z miejsc w coraz bardziej wzrastającym niepokoju, zwolna muzyka grać przestaje, wreszcie też wiadomość o nieszczęśliwym wypadku przenikła aż do najwyższych piętr. Jak daleki odgłos burzy, przebija się przez tłum coraz głośniejsze wołanie: Doktora! i już niektórzy z tych panów przeciskają się przez szeregi tłumnej publiczności. Zdołano wreszcie podnieść Kohinora, który drży i kipi — i wyprowadzić go. A po pauzie, przerażającej ciszą i oczekiwaniem, odzywają się lękliwe zapytania: „Co się z nią stało?... czy nie żyje?“ Zmieszany tłum ujeżdżaczy, którzy widok nieszczęśliwej przed publicznością zasłonić mają, zaczyna się poruszać wolno, bardzo wolno, i niknie w głębiach stajni, jak pochód pogrzebowy na deskach teatralnych. Głucha cisza panuje wśród przepełnionych obszarów — i słychać tylko brzęk grabi, któremi dwaj posługacze, jakby nic nie było zaszło, piasek w maneżu równają. Wreszcie ukazuje się elegancki pan Balbi we fraku i świecących lakierkach i wśród ogólnego, pełnego trwogi i niepokoju milczenia oznajmia łamaną francuzczyzną, że Miss Bellair miała nieszczęście upaść, w skutek czego nastąpiło omdlenie. Niewielu w słowa te uwierzyć zdoła, lecz swobodny uśmiech p. Balbi i pełne powabu ukłony nie mogą złej wieści być zwiastunem. Wybucha więc okrzyk nieopisanej radości. Następny jednakże numer programu, obiecujący występ dwóch muzykalnych klownów, zostaje wykreślonym. W ich miejsce ukazuje się Mr. O. Loyal z swemi sześciu węgierskiemi *rollblutami* i wśród ogłuszających dzwonków i szalonego hałasu ujeżdża w maneżu swą niezrównaną „Esikospost“.

Hrabia Henryk powstał i wielkiemi krokami, które głuszył rozłożony bogaty kobierzec perski, zaczął chodzić po salonie. Od czasu do czasu przystawał, cicho nadsłuchując — a może też tylko własne jego myśli wstrzymywały jego kroki! Stanął wreszcie, jedną ręką wsparty o poręcz krzesła, zwracając ku ścianie twarz pobladłą i smutnie zamyśloną.

— Czy tam dobrze słyszysz? zadźwięczał srebrny głosik Anny.

Wstrząsnął się, jakby nagle ze snu zbudzony.

— Słyszę wszystko, wszystko — brzmiała pospieszna odpowiedź.

— Teraz dopiero przychodzi najważniejsze, posłuchaj. I śliczną swą postać sylfidy wygodniej w fotelu układając, czytała dalej:

„Tymczasem w stajni Miss Bellair walczyła ze śmiercią, ciężko poraniona w skutek gwałtownego spadnięcia, jako i kopytami Kohinora. Przybiegli lekarze opuścili ją natychmiast — sztuka ich okazała się bezsilną. Nie śmiano jej po stromych schodach przenosić gdzieindziej. — Umrzeć, tu na miejscu umrzeć!... błagały gasnące jej oczy. Niedaleko wejścia do stajni był zalotnie i starannie urządzony oddział dla Kohinora. Tam złożono umierającą na słomie pod żłobem, a czerwoną, jedwabną, złotem haftowaną derą Kohinora okryto drgające jej członki.

„Wokoło rozlegał się gwar i hałas stajennego życia: tentent kopyt i brzęk gwałtownie szarpanych łańcuchów, parskanie i rżenie koni. Z oddali dochodziła gorąca, namiętna muzyka, dźwięk dzwonków, świst szpicruty, gwar zadowolenia i grzmot oklasków! I wśród tego chaosu, jakoby na placu boju, na którym wawrzyny zbierała, skończyła Miss Bellair, jak na bohatera przystoi!“

Westchnienie, równające się prawie stłumionemu jękowi, zadrżało w powietrzu. Wyrwało się ono z piersi hrabiego Henryka, czy też wydał je śpiący neufundlandczyk?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Kosznitski.

Wiemy, że Opatrzność przezorna i troskliwa o los i dobro młodych ssawców w ogólności śle im obfite źródło pierwszego pożywienia i wątłych poniekąd sił krzepienia — w pokarmie, wytworzonym w wymionach ich matek.

To też i u niemowlęcia jest i powinno mleko matki pozostać głównym filarem, najwłaściwszem i najnaturalniejszem źródłem przyszłych sił jego.

Dziecina, przyłączona do piersi zdrowej matki w kilka godzin po przybyciu na świat, zastaje tamże w sutkach płyn podobny do mleka (colostrum), który stanowi dla niego „jakoby lekarstwo podług recepty Boga i z najlepszej apteki, bo z samej ludzkiej natury.“*) Płyn ten zawiera małą tylko ilość cukru, a za to znaczną białka (Serumalbumin), tłuszczu, wielkich ciałek siary i różnych soli. Ostatnim dwom składnikom zawdzięcza głównie owo działanie, zwalniające kiszki niemowlęcia z nagromadzonej w nich smołki (meconium). Dopiero po kilku dniach, i to zwolna, wytwarza się w gruczołach sutek właściwe mleko macierzyńskie, z którego chemicznym składem później dokładniej się zapoznamy.

Matka, wypłacająca się z długu przyrody i karmiąca zaraz własną piersią swe dziecię, dumną być może, że, dawszy mu życie, nietylko takowe i nadal utrzymać jest w stanie — ale i niejako niezbędną jest jego podwaliną. Otwierająca pierś swą niemowlęciu obowiązkowa matka oddala od siebie rozliczne choroby, wpływa na rychły i zupełny swój powrót do zdrowia — a niemowlęciu gotuje

*) Bronisław Ferdynand Trentowski. Chowanna czyli system pedagogiki narodowej. Wyd. II. Tom I. Poznań. Łukaszewicz. Strona 368.

wzrost szybki, rozwój pewny i ochronę przed śmierci zagładą.

Lecz, niestety! liczba matek karmiących z każdym dniem mniejsza, nie licząc już tych, które karmić nie chcą. Im to słusznie wymawia Jean Paul, wołając: „kochankowi oddałyście krew i mienie — a tej ukochanej istotce nawet ani kilku godzin poświęcić nie chcecie“!

Hähner i Baginsky*) radzą, aby każdą zdrową matkę zachęcać do karmienia i twierdzą, że częste przykładanie dziecka do piersi, z razu małą tylko ilość mleka wykazującej — pomyślnym i nadspodziewanym wieńczyło się skutkiem.

J. E. Winters, zastanawiając się nad możnością karmienia dziecka przez matkę, tak się odzywa: „powiadają, że wiele kobiet w dużych miastach odznacza się zbyt wątłem zdrowiem, by mogły karmić swe dzieci i nie posiada dostatecznej ilości mleka, skutkiem czego karmienie wpływać ma ujemnie na zdrowie matki i dziecka. Wbrew temu zdaniu A. Soeff-Mereri, który opisuje przeszło 800 kobiet i ich dzieci — utrzymuje, że znajdował obfity pokarm u kobiet szczupłych i wątłej budowy; niektóre z nich cieszyły się wybornem zdrowiem, a mleko ich posiadało doskonałe własności. Wykazano też, że karmienie dziecka nie powoduje niedokrewności. Kobieta więc niezbyt silnej budowy (o ile nie jest ciężko chorą) może karmić swe dziecko, nie powinna wszakże podawać mu piersi w nocy, a nawet nie spać w tym samym pokoju, gdzie dziecko, i w razie, gdyby rzeczywiście pokarm okazał się niedostatecznym, dopełnić takowy sztucznem pożywieniem. Szczególniej nacisk kładzie autor na potrzebę karmienia własnego dziecka wkrótce po porodzie. Tam, gdzie zdrowie matki nie pozwala jej karmić dziecka aż do odstawienia (najmniej 8—10 miesięcy), niezbędnem jest karmienie przynajmniej w przeciągu pierwszych sześciu tygodni do dwóch miesięcy. W tym czasie niemowlę najwięcej potrzebuje pokarmu matczynego, gdyż w tym okresie śmiertelność noworodków jest największą, jak to rozliczne sprawozdania wykazują.**)

Żadna prawda nie jest tak niezawodna, jak ta, że mleko matki najlepszem i najnaturalniejszem jest dla dziecka pożywieniem, ależ i ta prawda nie jest bez warunku. Jedynie zdrowa matka karmić ma dziecię własną piersią; chorej i skrofulicznej odjąć je należy.“***)

Przeciwskazanie dla karmienia stanowią oprócz wspomnianych skrofuł (scrophulosis, zołzy,) suchoty płucne, rakowate cierpienia, padaczka (epilepsya, choroba św. Walentego), cierpienia nerwowe, umysłowe i miejscowe choroby, osutek, lub brodawek samych tylko dotyczące, lub też wreszcie i chemiczne pokarmu przemiany.

„Gdy mleko matki widocznie szkodzi dziecku, należy odłączyć je od piersi matki, wszelako dopiero wtedy, gdy zawiodą wszelkie usiłowania poprawy, lub zmiany własności mleka, jako i uwzględnienie pokarmów i napojów, używanych przez matkę, zmiana miejsca pobytu i powietrza, użycie środków wzmacniających itd.****)

Choroba matki, ostro przebiegająca, nie zawsze wymaga rozłączenia się jej z dzieckiem. Najbezpieczniej postąpi sobie zaś każda z nich, gdy po pojawieniu się tak chorób zapalnych jak i innych zaraźliwych bez zwłoki zasięgnie rady lekarskiej.

„Posługiwanie się mamką czyli tak zw. żywicielką — i co zatem idzie, opuszczenie dwojga dzieci przez własne matki, jest główną przyczyną śmiertelności niemowląt,“ twierdzi wspominany Winters i nazywa karmienie przez mamkę mieczem obosiecznym, gdyż zwiększa prawdopodobieństwo śmierci w pierwszym roku życia tak wśród owych troskliwością otoczonych, zamożnych, jak i owych na opatrzności pozostających biednych dzieci mamek. Po kilku tygodniach, lub najdalej miesiącach nadchodzi zwykle wieść, iż dziecko żywicielki przeniosło się do wieczności!

W grodzie naszym dostaje się wieść taka, niestety! bardzo, bardzo często do domów żydowskich, gdzie to w czasach naszych zmateryalizowanych wiejskie i miejskie nasze niewiasty dzieciom Izraela tak ochoczo pierś swą otwierają!

Śmiertelność też i w ogóle zdrowotność tego plemienia, okupującego za mamonę życie i zdrowie niemowlętom — korzystniej się teraz przedstawia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Baginsky Adolf Dr. Privatdocent Berlin. Lehrbuch der Kinderkrankheiten 1887. Str. 21.

**) I. E. Winters. The relative influence of maternal and wetnursing au mother and child (Rzecz czytana w akademii medycznej w Nowym Yorku w sekcyi chorób kobiet i dzieci.) Wiadomości lekarskie. Rok II. Zeszyt 4. Strona 122.

***) Trętowski op. cit. str 369.

****) Winters: Wiadomości lekarskie. Dr. I. K. Wiktor. Lwów. Rok II. Zeszyt 1. Strona 123.

O potrzebie założenia wyższej szkoły ręcznych robót kobiecych.

U sąsiednich narodów Polki nasze uchodzą za kobiety, należące do najprzystojniejszych; utrzymują zarazem, że są dystyngowane, utalentowane, dowcipne, wykształceńsze od kobiet innych narodów — a tem samem godziny schodzą szybko w ich towarzystwie. Obcy więc, nieprzyjaciele nawet, niejednę przypisują nam zaletę i cnotę. Wiadomem jest powszechnie, że sam „żelazny książę“, wymyślając w głośno przyznawanej nienawiści swej do nas coraz nowe sposoby tępienia naszej narodowości, w mowach swych raczył podnieść wysoko moralną wartość Polki-kobiety i wpływ jej na współziomków. Jak sam przyznał, obawia się książę wpływu bezbronnej kobiety. Słowami temi pamiętnemi, sam może nie wiedząc o tem, a z pewnością tego nie pragnąc, cześć nam oddał, hołd złożył i przyniosł zaszczyt prawdziwy, tem większy, że pochodzący z strony tyle nam nieprzyjaznej. Chwiejnym nieraz i upadającym już na duchu wśród zbyt trudnych do zwalczenia okoliczności przypomniał, jaka w nas jeszcze spoczywa siła. Dzięki mu za to.

Dawniej jednak prababki nasze innemi jeszcze słynęły cnotami: były rzędne. gospodarne, odważne i mężne, jak znana w historyi Chrzanowska, a przytem pracowite. Drobnemi rękami, nawykłemi do wszelkiego rodzaju zajęcia, iście mrówcze wykonywały prace, czego i dziś jeszcze mamy pamiątki w wspaniałych robotach kościelnych, jak relikwie prawdziwe przechowywanych po starodawnych kościołach. To też świątynie nasze pięknie i bogato były uposażone, Bóg błogosławił za pracę i ofiary, a staropolskie domy jaśniały dobrobytem, sprowadzonym w ich progi zajęciem pani i panien, które własną pracą strojąc zacisza domowe, bez wielkich kosztów czyniły je powabnemi i dla oka miłemi.

Dla czegoż dzisiaj na tem polu tak mało widzimy zamiłowania, czy umiejętności? czyżby paniom naszym zabraknąć miało nagle zdolności, lub chęci do pracy igiełką, umiejącą pomimo maleńkich swych rozmiarów stwarzać nieledwie cuda? Widzimy wprawdzie tu i owdzie dowody, że dawna umiejętna praca ręczna niezupełnie jeszcze wśród nas zaginęła: niedawno temu w pałacu arcybiskupim urządzona wystawa przepysznych ornatów i innych ubiorów kapłańskich, które wszystkie wyszły z pracowni pań Skórzewskich, a przeznaczone zostały do Rzymu dla Ojca św., na uczczenie 50-letniego jubileuszu Jego kapłaństwa, wzbudzała podziw dobrym gustem i ślicznem a poprawnem wykończeniem szczegółów niektórych mianowicie przedmiotów. Są to jednak

wyjątki. W prywatnych domach nic, lub mało robi się w tym względzie, a ogół pań naszych roboty ręczne traktuje obojętnie, nieledwie z lekceważeniem. Prawda i to, że ogólne warunki, w których żyjemy obecnie, trudne są i ciężkie, a ponieważ kobiety-Polki sercem odczuwają ogólne nieszczęścia, a tem samem liczne mają obowiązki, więc do ich prywatnego życia tyle przybywa nieraz zajęcia i kłopotu, że może często na wykonywanie większych i piękniejszych robót nie stanie im czasu, a choćby i myśli swobodnej, tak bardzo potrzebnej do każdej systematycznej pracy.

Z drugiej jednak strony zdaje mi się, że główną tej obojętności przyczyną jest brak właściwego przygotowania do podobnego rodzaju pracy, brak dokładnej nauki, bez której żadnym przedmiotem nie można zajmować się z zamiłowaniem i właściwym pożytkiem. Nauczycielki domowe same jej w wyższym stopniu nie posiadają, a więc i uczennicom udzielić nie mogą; — matki rodzin i panie domu, na których spoczywa cały, mozolny nieraz ciężar podtrzymania w swych podstawach domu i własnego ogniska, czasu na to nie mają: w żeńskich zaś pensyonatach naszych, szczególniej od czasu zamknięcia klasztorów, nauka robót ręcznych tak po macoszemu bywa traktowana, że często młoda panienka po ukończeniu kursów całych, w których i godziny nauki robót ręcznych zabrały niemało nadaremnie straconego czasu, zaledwie umie przyszyć guzik do rękawiczki.

Wobec takich stosunków ogół naszego społeczeństwa z sympatyą, nieledwie z radością powinien powitać myśl p. J a d w i g i z K ł o b u k o w s k i c h S t a n o w s k i e j założenia w mieszkaniu jej przy ul. Wiedeńskiej, nr. 5, p r a c o w n i, w y ż s z e j s z k o ł y h a f t ó w i w s z e l k i c h r o b ó t, w c h o d z ą c y c h w z a k r e s r ę c z n e j p r a c y k o b i e c e j, a myślą tą nie powinien tylko się ucieszyć, wiele o niej rozprawiać, a następnie dać jej zagasnąć w popiołach zapomnienia — jak to, niestety! często zdarza się u nas z wielu szlachetnemi pomysłami i postanowieniami — lecz p o p r z e ć j ą c z y n e m, dostarczając zamówień i jak największej liczby uczennic. Co do nauczycielki, nie podobna wymarzyć osoby więcej pod tym względem odpowiadającej zadaniu; p. Jadwiga Stanowska bowiem wiele w tym zakresie pracowała sama i najwybredniejsze wymagania umiejętnością swoją zadowolić może. W pracowni jej oglądać można wzory przez nią samę zebrane i wykonane, a tak misternie, tak artystycznie wykończone, że mimowoli w myśli staje pytanie, czy podobna, aby własną ręką, uzbrojoną jedynie w skromne narzędzia robót kobiecych, takie śliczności tworzyć można? — Całej tej swojej umiejętności pani Stanowska szczerze i z zamiłowaniem uczennicom udzielić pragnie: a więc przede wszystkiem haftu białego, będącego najpierwszą podstawą wszelkich innych, robót krzyżowym ściegiem, siatkowych, szydełkowych, friwolitek sposobem szybkim i zręcznym, rozmaitych koronek, aplikacyi na tiulu i innych materyach, szycia starannego ręką i maszyną, cerowania w deseń słołowej bielizny, rozmaitych robót szmuklerskich, jako to: guzików, sznurów, frendzli i kutasów, haftów kolorowemi jedwabiami, srebrem i złotem — jednem słowem, wszelkich prac od najprostszych do najwytworniejszych, wchodzących w zakres ręcznych robót kobiecych. Rozmaitość tu więc wielka, nauka staranna, wykonanie artystyczne.

O ile do wiadomości naszej doszło, lekcye odbywać się mają od godziny 9—12 przed południem i od 2—5 po południu, i to w dwóch oddziałach, z których jeden dla początkujących, a drugi przeznaczony dla uczennic, więcej już posiadających wprawy. Osoby, lepiej jeszcze z tą sprawą pragnące się zapoznać, wszelkich bliższych objaśnień zasięgnąć mogą od samej pani Stanowskiej, która i względem wszelkich innych warunków — przystępnych dla każdego — objaśni osoby w tem interesowane.

Za granicą podobne zakłady i pracownie stale są utrzymywane po większych miastach; z nich to rozchodzą się prawdziwe arcydzieła pracy kobiecej, dając choć skromny, ale stały zarobek klasom niezamożnym, a miłą rozrywkę, nieraz prawdziwe uspokojenie myśli stroskanej — bo nie ma podobno nikogo bez wszelkiej troski na ziemi — tym, które los tak uposażył, że igłą nie potrzebują walczyć o codzienny kawałek chleba. U nas dotąd na tem polu nic nie uczyniono, leży ono zupełnie odłogiem; zaprojektowana szkoła i pracownia pani Jadwigi Stanowskiej pierwszą jest w tym rodzaju, tem więcej przeto liczyć powinna na pomyślny rozwój i poparcie ogółu. Myśl to szczęśliwa, a umiejętne jej przeprowadzenie na nowo może rozbudzi w paniach naszych warstw wszystkich dawne zamiłowanie prababek naszych do prac najpiękniej w domu wykonywanych, jak tego szczerze pragnie założycielka.

Skromna nauka robót ręcznych, obok innych wyższych nauk, nie jest tak nic nieznaczącą, jakby się to na pozor zdawać mogło. Przede wszystkiem przyzwyczaja ona do systematycznej pracy, wytrwałości, oszczędności, do skupienia myśli w jeden punkt, nie absorbując jej jednak zupełnie, przyzwyczaja do porządku, bo, aby robótka była ładną, musi być czysto odrobioną, w przerwach porządnie złożoną i schowaną; — wreszcie, opierając się przeważnie na rozmaitych wzorach, na rysunku i barwach, wyrabia poczucie estetyczne, tak potrzebne w domowem życiu kobiety. A w dojrzalszych latach jakżeż nieraz ta umiejętność niejednę zdoła uprzyjemnić chwilę! Gdy długie wieczory zimowe, szczególniej na wsi, gdzie nie tak łatwo o inne rozrywki i weselsze towarzystwo obcych, łączą nieraz przy wspólnym stole liczniejszą rodzinę, z której jeden członek zajęty muzyką, czytaniem głośnem dobrej książki, lub własnem opowiadaniem, przeplatanem rozmaitemi spostrzeżeniami, trzyma na uwięzi uwagę reszty rodzinnego kółka, pracującego nad temi tysiącznemi drobnostkami, zowiącemi się ręczną robótką kobiecą — toż to doprawdy odrobina cichego szczęścia na ziemi!.. Jak łatwo wtenczas własną ręką, bez wielkich wydatków, czy to dla przyozdobienia domu, czy dla przystrojenia własnej osoby, lub innych sercu miłych istot gromadzić te rozmaite zabytki, tworzące elegancyą, której wrodzoną już potrzebę posiada nieomal każda z naszych Polek. I niejeden uśmiech można wtenczas wywołać na wybladłe twarzyczki, szyjąc wspólnie ubiorki dla uboższych dzieci robotników naszych; — a prace, dla niezamożnych kościołów przeznaczone, nieraz nawet troskę złagodzić umieją. — Może czasem i łezka cicha nad własną, lub braci niedolą spadnie wtenczas jak słowo modlitwy na wyszywane ściegi! — a podobno każda łza taka brylantem świecić będzie w pozagrobowej koronie, na którą na tej ziemi pracujemy.

Wreszcie robótka ręczna nieraz prawdziwą jest tarczą w ręku pracującej kobiety. „*La femme qui brode a le droit d'être distraite*“, powiedział pewien autor francuzki — to znaczy, że, pomimo obowiązkowej uprzejmości, ma prawo nie zważać na to, co nie jest godnem uwagi, dając jednak baczenie na wszystko, co ją otacza — snując zarazem w tem pozornem roztargnieniu wątek własnych myśli, własnych postanowień, k t ó r e p r z y s z l a c h e t n e j p r a c y n i e m o g ą b y ć n i e s z l a c h e t n e. Niejedna myśl dobra w sercu jej wtenczas dojrzeje, utrwali się, a myśl tę w danej chwili, gdy tego okaże się potrzeba, i w czyn zamienić potrafi.

Królowa nasza Jadwiga, panując rozumnie w kraju wówczas tak potężnym, nie wstydziła się w chwilach wolnych od rządów zajęcia ręczną pracą, a perłami i drogiemi kamieniami wyszywając złotem tkane ornaty, zarazem i złote prawdziwie snuła myśli, których urzeczywistnieniem łzy podwładnemu ludowi ocierać umiała. I z łona narodu polskiego na tron francuzki wyniesiona, dotąd z czcią i wdzięcznością, jako „la bonne reine“, wspominana Marya Leszczczyńska — obraz cnoty i rezygnacyi — łączyła w podniosłym umyśle swoim zamiłowanie do sztuk pięknych i nauk z cichą, skromną pracą robót ręcznych, któremi zapełniała długie, samotne nieraz godziny.

Jakżeż więc wobec takich przykładów nie uznać rze-

czywistej wartości zajęcia się rozmaitemi robotami ręcznemi, których podobno czasem — w cichości serca — zazdrości nam nawet silniejsza połowa rodu ludzkiego, zmęczona nieraz ciężarem spraw publicznych? Ażeby jednak prace podobne prawdziwy pożytek przynieść mogły i stały się dla nas tem, czem były w życiu naszych poprzedniczek, trzeba się z niemi zapoznać dokładnie, a poznawszy, polubić. Gdy więc pani Stanowska z taką gotowością udzielić pragnie innym wiedzy swej, nabytej przez długoletnią pracę, czyż należy się lekkomyślnie pozwolić upaść tej jedynej sposobności zaskarbienia sobie tajemnic rozmaitych pięknych, ręcznych robót kobiecych?

Wśród cichej pracy w domu polskim, przy domowem ognisku, niejedna myśl dobra zakwitnie, rozwinie się, a — w czyn wprowadzona — przysposobi może przyszłość lepszą, na pewniejszych spoczywającą podstawach, niż tak trudne zaprawdę do zniesienia dni obecne.

J....a.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

„Życie kobiety“. Pod tym tytułem wydała księgarnia Paprockiego i Spółki w Warszawie swoim nakładem przetłomaczoną rozprawę zaszczytnie znanego lekarza dzieci, Dr. Adolfa Baginsky'ego, docenta uniwersytetu berlińskiego, która w pierwszem wydaniu w roku 1874 jako: „Das Leben des Weibes. Diätetische Briefe. Berlin.“ w świat wyszła. Dziełko to nietylko u cór Izraela i Niemek, którym autor je poświęcił, wielkiego doznało uznania, ale nawet i przez lekarzy było i jest polecanem, i kilku doczekało się wydań.

Są to listy pouczające, jak ustroj kobiecy przy zdrowiu zachować można; przystępnie, przecież dla kobiet inteligentnych napisane, które w braku w ogóle dzieł hygienicznych pozwalamy sobie polecić tak kobietom młodym, jako i matkom, mającym dorosłe córki. Znajdą tam one wiele rad zbawiennych i przestrog pożytecznych. Oprócz dobrej treści ma staranne to wydanie i tę zaletę, że cena dziełka około sześciu arkuszy druku tylko 75 kopiejek wynosi. *Dr. Koszutski.*

„Gazety radomskiéj“ wyszedł pierwszy noworoczny numer pod kierownictwem nowego redaktora, Hugona Wróblewskiego. Numer ten wypełniają wyłącznie utwory literackie, pod któremi czytamy między innemi podpisy pani Konopnickiej, Quisa, Elyego. Całość przedstawia się korzystnie.

Londyński dziennik „Times“ obchodził d. 1 bm. jubileusz stuletniego swego istnienia, pierwszy bowiem numer „Timesa“ pojawił się 1 stycznia 1788 r. Jubileuszowa edycya olbrzymiego londyńskiego dziennika nosi numer 32,271, tyle ich wyszło w ciągu wiekowej exystencyi. Stuletni ten jubileusz wywołał sympatyczne echa na całym obszarze W. Brytanii, a prasa zagraniczna poświęciła mu obszerne wzmianki.

Na konkurs pomnika Mickiewicza nadeszło dotychczas do Krakowa 17 projektów, nadto zgłoszono się z trzema, które mają lada dzień nadejść. Ze wzmiankowanych 17 pochodzi 5 z Warszawy, 3 z Krakowa, 2 że Lwowa, 1 z Paryża, 1 z Rzymu. Wszystkie projekta zgromadzone są w Sukiennicach, a urządzeniem z nich wystawy w sali, zwanéj Langerówką, zajmuje się prof. Łuszczkiewicz. Otwarcie wystawy ma nastąpić 13 b. m.

We Lwowie bywają urządzane, tak zwane „wieczorki wełniane“ pod hasłem: „bawmy się wesoło, ale oszczędnie“ i zyskują podobno coraz większe grono zwolenników. Dnia 6 bm. odbył się tamże podobny wieczorek w kasynie miejskiem na dochód czytelni akademickiéj i wypadł świetnie, do kadryla stanęło około 50 par, a wszystkie panie, stosując się do przepisów, wystąpiły w toaletach gustownych, ale zupełnie skromnych. Na obecny karnawał zapowiedziano w stolicy Galicyi cały szereg podobnie skromnych wieczorków, a najbliższy, urządzony na dochód „Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczy wszechnicy,“ odbędzie się dnia 12 bm. Pożądanem byłoby, aby i nasze poznańskie panie, które także już karnawałować zaczęły, poszły w ślad siotrzyc swych Lwowianek i skromniejsze na bazarowych wieczorach przywdziały sukienki, które bynajmniej wdzięku i powabu im nie ujmą, ale je przeciwnie podniosą i uwydatnią. Przypominamy słowa nieśmiertelnego Adama:

„I w ubraniu pasterki widno, żeś królowa.“

Świetnie zapowiada się karnawał w „grodzie syrenim.“ Oprócz wielu zabaw prywatnych jest w projekcie kilka balów korporacyjnych. Na bieżący miesiąc zapowiedziane są: bal literacko-dziennikarski, bal „Lutni“, bal resursy obywatelskiej, bal inżynierów i techników.

Jedno z pism codziennych zagranicznych donosi, że pod hasłem: „Udoskonalenie mężczyzn“ utworzyło się w Paryżu stowarzyszenie, złożone z kobiet wszelkiej narodowości, mające na celu sprowadzenie z manowców zbłąkanych owieczek w postaci silniejszej połowy naszego rodzaju. Inicyatorki mają nadzieję podnieść moralny poziom mężczyzn przez obcowanie z nimi, a o skuteczności tych zabiegów — dodaje gazeta — wątpić nie wolno, zwłaszcza, jeśli wśród apostołek znajdą się młode i piękne.

LOGOGRYF.

(Ułożony przez dwie Zosie i Stefcię).

Sylaby:

a, berg, bro, ciej, clu, cki, cym, da, dy, e, ę, ga, go, i, i, jec, k, ko, le, lej, lesz, łow, ma, ne, no, no, o, o, o, o, p, pa, re, ri, rzeł, ry, sem, sium, ski, sło, szar, tau, ter, u, usz, wa, wie, wy, zbo, zit, ż, że.

Znaczenie wyrazów: 1. Sławny poeta. — 2. Nazwa roślin trawiastych. — 3. Miasto sławne w starożytności. — 4. Miasto w Europie. — 5. Dwie samogłoski. — 6. Wieś w Wielkopolsce. — 7. Plemie germańskie. — 8. Autor i poeta rosyjski. — 9. Rzeka w Ameryce. — 10. Dwie spółgłoski. — 11. Malarz nadworny Sobieskiego. — 12. Król Persów. — 13. Nimfy górne. — 14. Imie męzkie. — 15. Jezioro w Europie. — 16. Rodzaj małp. — 17. Filolog polski z wieku XVI. — 18. Wyspa dalmacka na morzu Adryatyckiem. — 19. Ptak. — 20. Miasto w Księstwie Poznańskiem. — 21. Mąż ze starego testamentu. — 22 Litera.

Pierwsze i ostatnie głoski wyrazów, czytane z góry na dół, zawierają szczere życzenia.

Dwa pierwsze rozwiązania logogryfu — z Poznania i z prowincyi — otrzymają nagrodę.

LISTKI.

Wszystkim szan. abonentkom i abonentom, którzy wraz z prenumeratą nadesłali „Domowi polskiemu“ i jego redakcyi „swe szczere życzenia,“ składamy serdeczne podziękowanie.

Panu Komendz. w Dreźnie: Życzenia wierszem i prozą, również prenumeratę odebraliśmy i serdecznie za wszystko dziękujemy.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.